



O grantach 'melancholijnie' – idea a rzeczywistość

Współczesność obecnych badaczy to przede wszystkim granty, umożliwiające podejmowanie ambitnych, nowatorskich projektów. Przygotowanie wniosków stanowi niekiedy lwią część nakładu pracy liderów badań.

Profesor Andrzej Kajetan Wróblewski zwrócił PAUzie uwagę na ciekawą publikację, której autorzy opisali wyniki gigantycznej analizy 90 tysięcy grantów w zakresie *'biomedical science'*, a konkretnie dokonali zestawienia ich planów z wykonaniem przedstawionym w 1,2 milionie publikacji. Wynik jest wstrząsający, bo okazuje się, że w większości przypadków (70%) wynikami są *'unexpected results'*. Czyli, mówiąc inaczej, plan sobie, a wykonane badania sobie. Praca badawcza nie polega na 'wykonaniu planu', co skądinąd doskonale wiemy. Zatem po co ten plan i wysiłek włożony w jego opracowanie? Pytanie jak najbardziej zasadne, prawda? I tak stawia je profesor Wróblewski. Twierdzę, że ma rację, jak zwykle.

Jeśli pomyśleć o genezie systemów grantowych, to nieuchronnie nasuwa się opinia, że jej źródłem jest zwyczajnie biurokracja. Mamy wniosek, rozwinęte uzasadnienie i plan wykonawczy, wszystko podane ocenie i, w przypadku przyznania funduszy, 'wykonujemy plan'. Rzeczywistość, jak widać, burzy ten biurokratyczny schemat!

W procesie oceny wniosków grantowych bardzo ważnym elementem jest oczywiście ocena wnioskodawcy. Można postawić pytanie, czy to nie powinno wystarczyć? Czy zamiast inwestować w system biurokratyczny, nie należałoby inwestować w aktywnego i twórczego uczonego? To bardzo pociągająca koncepcja, prawda?

Jeżeli poszlibyśmy tą drogą, to biurokracja naturalnie się nie podda i każe nam zrobić coś w rodzaju kategoryzacji profesorów, jak

to się czyni w niektórych krajach, by wiedzieć, komu przyznać grant, a komu raczej nie. Pewnie warto byłoby zapytać, jak takie systemy tam funkcjonują. Natomiast przyznanie grantów młodym uczonym trzeba by scedować na instytucje, w których pracują, bowiem tam wiedzą, komu warto powierzyć fundusze na badania.

W koleżeńskich dyskusjach na temat procedur grantowych nie-rzadko pojawiają się obawy związane z systemem recenzyjnym. Niektórzy mówią wprost, że wysyłanie naszych wniosków do recenzji za granicę jest oddawaniem twórczych koncepcji naszych kolegów zagranicznej konkurencji. I to całkiem *gratis*. Problem ma także wymiar krajowy, bo lokalna konkurencja nie śpi, prawda? Każdy z nas ma z tym jakieś własne doświadczenia, których nie chciałbym teraz rozwijać. Wystarczy powiedzieć, że jest to pewien problem wart rozważenia. Bo samo zdefiniowanie naukowego problemu zasługującego na zbadanie to chyba najważniejsza część naszej działalności? Może warto ten element zachować w dyskrekcji i ujawniać po badaniach, a nie przed nimi? I wprowadzić system oceny grantów po ich realizacji. Dawno temu planowano oceny wyników badań grantowych, chyba jeszcze w Komitecie Badań Naukowych, ale skończyło się na niczym. A sprawa jest godna uwagi.

Ocena wniosków grantowych w Kraju, gdy zaledwie co dziesiąty uzyska dofinansowanie, to problem szczególny. Recenzenci mają za zadanie uzasadnić wyeliminowanie tych 90%! Tym motywuję rozmaite symptomy dewiacyjne, jak np. ocena kolejności współautorów w publikacjach, czy podobnej wagi 'argumenty'. Ale tego teraz nie rozwijam, jeśli zmienimy system na wspieranie uczonych, a nie składanych planów, to problem się rozwiąże *per se*.

JANUSZ LIPKOWSKI

Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie
(emeritus)

Sztuka narodowa

PAWEŁ TARANCZEWSKI

Definiowanie sztuki narodowej jest trudne, nawet niemożliwe, mimo to Władcy nasi (nie wszyscy) mile sztukę narodową widzą, jej oczekują. Jednak próby tworzenia narodowej sztuki kryją pułapki, które wyczuwali Marcel Proust, Józef Czapski i Stanisław Wyspiański.

Starając się zgłębić to zagadnienie, posłużmy się cytatami z wymienionych twórców.

Marcel Proust zauważył: „[...] w odczytaniu [znaków wewnętrznej książki] nikt nie mógł mnie wspomóc żadną regułą (tu warto wspomnieć Kanta!), gdyż lektura ta polegała na akcie twórczym, gdzie nikt nie zdoła nas zastąpić ani nawet współpracować z nami. Iluż przez to od-

wraca się od pisania! Ileż podejmujemy innych zadań, aby go uniknąć! Nie było takiego wypadku – sprawa Dreyfusa² czy wojna – który nie dostarczyłby pisarzom rozmaitych wymówek od rozszyfrowania tej właśnie księgi; chcieli zapewnić tryumf Prawu, odbudować jedność duchową narodu, nie mieli czasu myśleć o literaturze. Ale były to tylko wymówki, gdyż nie mieli – albo już nie mieli – geniuszu, to znaczy instynktu. Gdyż instynkt wskazuje nam obowiązki, inteligencja zaś dostarcza pretekstów, by uchylić się od nich”³.

„Pojąłem, że nie mam co się zaprzątać rozmaitymi teoriami literackimi [...] zmierzającymi ku temu, by <<artysta opuścił swoją wieżę z kości słoniowej>>, by zaniechano tematów błahych i sen-

► **tymentalnych, traktowano zaś o wielkich ruchach robotniczych**, a w braku tłumów, aby nie malowano już przynajmniej nic wartych próżniaków”⁴.

„**Idea sztuki** popularnej jako sztuki **patriotycznej**, jeśli nawet nie była niebezpieczna, **wydawała mi się śmieszna**. [...] Już na początku wojny pan Barrès⁵ powiedział, iż artysta (w guście Tycjana) winien nade wszystko służyć chwale swojej ojczyzny. Lecz **może jej służyć jedynie jako artysta**, czyli pod warunkiem, by, studiując zasady, dokonując doświadczeń i odkryć nie mniej subtelnych niż zasady, doświadczenia i odkrycia naukowe, **nie myślał o niczym innym – nawet o ojczyźnie – oprócz prawdy, którą ma przed sobą**. Nie naśladujemy uczestników wielkiej rewolucji, którzy w <<poczuciu obywatelskim>> gardzili, jeśli ich nie niszczyli, dziełami Watteau i La Toura, malarzy, co bardziej rozstawili Francję niżli wszyscy malarze rewolucyjni”⁶.

„**Najlepszy więc, najinteligentniejszy i najbardziej bezinteresowny odłam młodzieży** jął smakować już tylko w dziełach wysokiej **doniosłości moralnej** [u nas sztuka moralnego niepokoju – PT], **socjologicznej, a nawet religijnej**. Młodzież ta wyobraziła sobie, że wspomniana **doniosłość stanowi kryterium dzieła** – powtarzając tym samym błąd Davidów, Chenevardów, Brunetière’ów etc.”⁷.

Tyle Proust, z kolei **Józef Czapski** uważa, że „Tak łatwo powtarzane słowa <<sztuka narodowa>> w rzeczywistości są z niesłychaną dowolnością fałszowane i naginane przez ludzi patrzących na sztukę wyłącznie pod kątem narodowym czy nawet rasowym – Stasiak⁸ twierdzi, że Niemcy za czasów Wita Stwosza były jedynie <<zachodnią prowincją sztuki krakowskiej>>; Niemiec Haupt⁹ utrzymuje, że Słowiańszczyzna jest w ogóle niezdolna do jakiegokolwiek sztuki, a Francuz Mâle¹⁰ pisze dzieło, w którym dowodzi, że Niemcy mogą jedynie naśladować, nic zaś samodzielnego w sztuce nie stworzyli”¹¹.

„Nawoływanie u nas do zachowania <<w zupełnej czystości rasowych walorów naszej sztuki>> to żądanie, byśmy czerpali natchnienie jedynie ze źródeł etnicznie polskich – nie jest ani nowe, ani oryginalne. Szereg uczonych przed wojną (pierwszą światową) robiło to samo w Niemczech i nie wyszło to na dobre sztuce niemieckiej”¹².

W eseju **Wpływy i sztuka narodowa** cytuję Czapski fragment tekstu autora Poszukiwania – we własnym tłumaczeniu: „Barrès mawiał, że artysta (taki np. jak Tycjan) powinien przede wszystkim służyć chwale swojej Ojczyzny. Ale **może on jej służyć, tylko będąc artystą**, to znaczy pod warunkiem, że w chwili, kiedy bada prawa sztuki, kiedy tworzy swoje doświadczenia i odkrycia równie subtelne [délicates] jak odkrycia w nauce, że w tych chwilach nie myli o niczym innym, nawet o Ojczyźnie, **a tylko o prawdzie, wobec której stoi**”¹³.

O sztuce narodowej pisał także **Stanisław Wyspiański**, wystarczy zacytować słowa Konrada z Wyzwolenia, które także Czapski przytacza: „A co mi **wstrętne i nieznosne**, to jest to **robienie Polski na każdym kroku i codziennie**. [...] Bo to tak wygląda, jakby Polski nie było, Polaków nie było... Jakby ziemi nawet nie było polskiej i tylko trzeba było wszystko pokazywać, bo wszystkiego zostało na okaz, po trochu; pokazywać, jakby srebra stołowe w zastawie; pokazywać, jakby kartki i karteczki zastawnicze – i kryć się, i udawać, i udawać. [...] Po co, na co? Bez tych manifestacji wszystko jest: i ziemia, i kraj, i ojczyzna, i ludzie”¹⁴.

Powyższe uwagi odsyłają do rozumienia patriotyzmu, o którym trafnie pisał Władysław Stróżewski¹⁵. Jego słowa wiążą się z absolutyzowaniem sztuki narodowej: „Największą tragedią patrioty jest odwrócenie się narodu od ideałów, które są dobre same przez się [od sztuki wartościowej samej przez się – PT], do celów [do sztuki – PT], które zostały zabsolutyzowane dlatego, że są narodowe”¹⁶.

PAWEŁ TARANCZEWSKI

Akademia Sztuk Pięknych
emeryt

Podkreślenia oraz wybór cytatów Paweł Taranczewski (PT).

¹ Ponieważ talent przyrodzony musi ustanawiać prawa dla sztuki (jako sztuki pięknej), [powstaje pytanie], jakiego rodzaju jest to prawo? Nie może ono być ujęte w żadną formułę, by służyć za przepis, gdyż znaczyłoby to, że sąd o pięknie daje się zdeterminować na podstawie pojęć. Prawo to musi zostać wyabstrahowane z tego, co zostało wykonane, tzn. z wytworu, podług którego inni mają próbować swego własnego talentu, by wziąć go sobie za wzór, ale nie do naśladowania, lecz do kontynuowania” [w:] Immanuel Kant, **Krytyka władzy sądu**, przełożył, przedmową i przypisami opatrzył Jerzy Gałęcki, tłumaczenie przejrzał Adam Landman, PWN, Warszawa 1964, s. 235.

² Sprawa Dreyfusa, afera Dreyfusa (fr. L'affaire Dreyfus) – polityczny skandal we Francji pod koniec XIX wieku, który stał się przyczyną kryzysu politycznego i społecznego, pociągając za sobą poważne zmiany w życiu kraju. Jego zarzewiem było niesłuszne skazanie kapitana artylerii Alfreda Dreyfusa za szpiegostwo na rzecz Niemiec, na podstawie sfałszowanych dowodów. [...] W sierpniu 1898 francuski minister wojny Cavaignac ustalił, że dowody zostały spreparowane przez kapitana Henry’ego. Kapitan wywiadu popełnił samobójstwo, a we wrześniu tego roku mjr Esterhazy przyznał się do winy. (Wikipedia)

³ Marcel Proust, **Czas odnaleziony**, przełożył Julian Rogoziński, Porozumienie Wydawców, Warszawa 2001, s. 253.

⁴ Ibidem, s. 256.

⁵ Maurice Barrès (ur. 19 sierpnia 1862 w Charmes-sur-Moselle w Lotaryngii, zm. 4 grudnia 1923 w Neuilly-sur-Seine[1]) – francuski powieściopisarz, eseista, polityk i teoretyk nacjonalizmu (Wikipedia)

⁶ Ibidem.

⁷ Ibidem, s. 271 (u nas błąd grupy „Wprost” i sztuki moralnego niepokoju – PT).

⁸ Ludwik Józef Stasiak (ur. 13 sierpnia 1858 w Bochni, zm. 3 grudnia 1924 tamże) – polski malarz, rysownik, pisarz, dziennikarz, publicysta, historyk sztuki i wydawca. (Wikipedia).

⁹ Zapewne Joachim (Thomas) Leopold Haupt. (1797–1883). Zasłużony niemiecki badacz kultury łżyckiej, ludoznawca, historyk regionalny, teolog

¹⁰ Mâle Émile, ur. 2 VI 1862, Commentry (dep. Allier), zm. 6 X 1954, opactwo Châlis (dep. Oise), fr. historyk sztuki; wybitny znawca ikonografii chrześc.; od 1912 profesor Sorbony; od 1927 czł. Akad. fr., od 1925 czł. PAU; L’art religieux de la fin du Moyen Age en France (1908), L’art religieux du XII siècle en France (1922), Arts et artistes du Moyen Age (1927), L’art religieux apres le Condile de Trente (1932).

¹¹ Józef Czapski, **Wpływy i sztuka narodowa**, [w:] Patrząc, Znak, Kraków 2016, s. 48.

¹² Ibidem, s. 51.

¹³ Ibidem, s. 48.

¹⁴ Ibidem, s. 54. Zob. w Internecie: Wyzwolenie.pdf, s. 55.

¹⁵ Władysław Stróżewski, O pojęciu patriotyzmu, [w:] Istnienie i wartość, Znak, Kraków 1981, s. 290.

¹⁶ Ibidem, s. 297.

Nieśmiertelni nadchodzą. Jak miliarderzy próbują przechytrzyć śmierć

Bryan Johnson, amerykański miliarder i przedsiębiorca technologiczny, znany jest dziś nie tyle z wcześniejszych sukcesów biznesowych, ile z radykalnego podejścia do własnego ciała. Łyka sto tabletek dziennie, nigdy nie je po godzinie 11 rano, obsesyjnie śledzi dziesiątki parametrów biologicznych. Jego celem nie jest jedynie przedłużenie życia. To całkowite pokonanie śmierci.

Choć brzmi to jak manifest ekscentryka, Johnson nie jest odosobniony. Należy do rosnącego ruchu z pogranicza biotechnologii i filozofii „human enhancement”, który traktuje ludzkie ciało jak platformę możliwą do zaktualizowania. Wspierają go m.in. Peter Thiel i Elon Musk, badający takie technologie, jak nootropy, interfejsy mózg-komputer i inżynierię genetyczną. Niektóre z metod są już dostępne. Metformina – popularny lek przeciwcukrzycowy – może wydłużać życie (na razie u myszy), a NAD⁺ promowany jest jako środek wspierający metabolizm komórkowy.

Biohakerzy eksperymentują z testosteronem, Ritalem czy suplementami sprzedawanymi w globalnym przemyśle wartym setki miliardów dolarów. W bardziej radykalnych przypadkach, jak w specjalnej strefie Próspera w Hondurasie, podejmowane są próby terapii genowych zwiększających produkcję foliatyny czy wydłużających telomery.

Jeszcze dalej idą interfejsy BCI – urządzenia łączące mózg z chipami komputerowymi. Choć dziś są testowane głównie u pacjentów z niepełnosprawnościami, ich potencjał sięga znacznie dalej. Według Muska tylko człowiek zintegrowany ze sztuczną inteligencją ma szansę przetrwać w świecie maszyn.

Ten ruch budzi jednak uzasadnione kontrowersje. Z jednej strony – część jego propozycji to realne innowacje, z drugiej – wiele to pseudonaukowe iluzje lub niebezpieczne eksperymenty. Problemy są dwa: z jednej strony brak regulacji, z drugiej – brak poważnych inwestycji w legalne, rygorystyczne badania. Starzenie się nie jest dziś oficjalnie uznawane za chorobę, co blokuje rozwój terapii „przeciwstarzeniowych”.

A jednak potencjał innowacyjny w tym zakresie jest ogromny.

Według niektórych analiz, lek spowalniający starzenie się o zaledwie rok w skali populacji USA miałby wartość ekonomiczną rzędu 40 miliardów dolarów. Aby jednak to osiągnąć, rządy muszą już teraz zaktualizować definicje zdrowia i zacząć traktować poprawę kondycji ludzi zdrowych jako uzasadniony cel badań biomedycznych.

Prawdziwym wyzwaniem będzie jednak etyka. Co stanie się z równością społeczną, jeśli „ulepszeni” będą wyłącznie bogaci? Czy w świecie inteligentnych maszyn osoby bez chipów i terapii genowych nie staną się nową klasą niższą? Te pytania nie są już domeną *science fiction*.

Jeśli Bryan Johnson i jemu podobni mają rację, nadchodzi moment, w którym „hakowanie biologii” stanie się rzeczywistością. Lepiej, byśmy jako społeczeństwo byli na to przygotowani.

Jeśli rozwój technologii „ulepszania człowieka” będzie postępować wykładniczo – jak przewidują entuzjaści transhumanizmu – stoimy nie tylko przed rewolucją medyczną, ale także ewolucyjną. Może się bowiem okazać, że w ciągu kilku dekad pojawi się nowa klasa ludzi: „technologicznie wzmocnionych”, silniejszych, szybszych, inteligentniejszych, być może żyjących o dziesięciolecia dłużej. W porównaniu z nimi my – „biologiczni” – możemy zacząć wyglądać jak Neandertalczyk w obliczu Cro-Magnonów. A historia podpowiada, jak kończą takie nierówności.

Co więc robić? Po pierwsze – zacząć publiczną debatę, zanim będzie za późno. Po drugie – wprowadzić regulacje, które nie będą blokować innowacji, ale zapewnią równość dostępu i bezpieczeństwo. Po trzecie – zainwestować w dostępność. I wreszcie – edukować. Bo jeśli rzeczywiście jesteśmy u progu nowej epoki ewolucji – warto upewnić się, że będziemy w niej uczestnikami, a nie tylko obserwatorami.

Niepokój, jaki budzi wizja technologicznie wzmocnionej klasy ludzi, nie jest bezpodstawny. Historia zna już scenariusze, w których pewne grupy uznawały się za lepsze od innych – i próbowały tę wyższość narzucić systemowo. Naziści mówili wprost o „nadludziach” – rasie panów, która miała prawo dominować nad „gorszymi”. Komunistyczne reżimy tworzyły nomenklaturę – klasę uprzywilejowaną, chronioną, niemal nietykalną. W RPA biali stworzyli prawną segregację rasową, zwaną apartheidem, by zachować władzę i przywileje. Niewolnictwo – uznane dziś za haniebne – funkcjonowało przez wieki na zasadzie brutalnej hierarchii biologicznej i ekonomicznej.

Dziś możemy być świadkami narodzin nowej formy tej samej opowieści: technologiczna elita, z dostępem do sztucznej inteligencji, neurointerfejsów i genetycznej modyfikacji, może stać się kastą niemal nadludzką. Nie przez ideologię, ale przez technologię. Czy pozostali będą jedynie obsługą dla systemów, których nawet nie rozumieją? Czy człowiek stanie się niewolnikiem maszyn, którą sam stworzył – mądrzejszej, szybszej, nieśmiertelnej?

To już nie jest dystopia z książek *science fiction*. „Coś takiego” nadchodzi – cicho, lecz nieubłagane. I jeśli nie zaczniemy teraz rozmawiać, regulować, bronić równości i godności – obudzimy się w świecie, w którym ta dyskusja będzie już tylko wspomnieniem. Przy czym „coś takiego” to nie maszyna, nie człowiek – to nowy byt: hybryda biologii i algorytmu, świadomy, samodoskonalący się, z dostępem do wiedzy, pieniędzy i narzędzi władzy. To człowiek 2.0 – nie ulepszony, lecz przemodelowany.

ANDRZEJ TARGOWSKI

Western Michigan University (emeritus)

Futboliści i uczeni

Nie jestem pasjonatem piłki nożnej i już od lat nie śledzę zawodów ani wyników. Moja wiedza pochodzi jedynie z niezbyt często przeglądanych komentarzy w prasie. Stąd wiem, że poziom polskiej ligi jest niski i sytuuje się daleko poza takimi potęgami, jak Anglia, Hiszpania czy Włochy. Nikt się temu nie dziwi, bo w całkowicie skomercjalizowanym świecie piłkarskim, gdzie zawodników po prostu się kupuje, siłą rzeczy dominują najbogatsi. Najbardziej uzdolnieni polscy piłkarze są więc wykupywani i następnie niektórzy z nich robią kariery (i wielkie pieniądze) w bogatych klubach za granicą. Jest to dobrze zorganizowany system, który wszystkim przynosi zyski. Zazwyczaj bogatszym większe, ubogim mniejsze, ale każdy ma szansę zarobić. Niedawno np. przeczytałem, że Lech Poznań całkiem nieźle zarabia na swojej szkółce piłkarskiej, eksportując młodych obiecujących zawodników. Najśawniejszym, nawet mnie znanym przykładem, jest Robert Lewandowski.

W rezultacie trzeba pogodzić się z tym, że polska liga jest i będzie kiepska, a polscy kibice skazani na oglądanie niezbyt atrakcyjnych spektakli.

Ten „drenaż talentów” może denerwować kibiców, ale – jak wspominałem – nieźle obsługuje wszystkich zaangażowanych w piłkarski biznes. Piłkarze chcą znaleźć się tam, gdzie jest wyższy poziom i większe pieniądze. Menadżerowie też otrzymują swoją część i wszyscy są mniej więcej usatysfakcjonowani. System jest stabilny, bo nawet najbiedniejsi nie są redukowani do zera i mogą stale dostarczać nowych talentów.

Ciekawe jest porównanie tego układu z „drenażem mózgów”, czyli eksportem najzdolniejszych uczonych. Talenty w dziedzinie nauki również ciągną do centrów ekonomicznych, gdzie otrzymują lepsze warunki pracy i rozwoju, tworząc w rezultacie wysoce kreatywne skupiska intelektualne, przyciągające następnych. Toteż, podobnie jak u futbolistów, świat rozpada się na obszary, między którymi różnica poziomu, w tym przypadku badań naukowych, jest duża i stale wzrasta. Jest to proces naturalny i chociaż słabsi próbują go powstrzymywać, wysiłki te żywo przypominają próby zawracania kijem Wisły.

Jest jednak zasadnicza różnica między drenażem mózgów a drenażem piłkarzy. W świecie piłkarskim wszyscy uczestnicy systemu mają szansę odnieść korzyści i wobec tego są w miarę zadowoleni, a dopływ talentów do regionów bogatych utrzymuje się na mniej więcej stałym poziomie. Natomiast drenaż mózgów wysysa talenty z obszarów ekonomicznie słabszych, nie oferując nic w zamian. Uniwersytet w biednym kraju nie otrzymuje żadnej rekompensaty za swojego studenta, który robi karierę np. w USA. Czyli biedniejsi są brutalnie wyzyskiwani. Gdy drenaż staje się naprawdę głęboki, dochodzi do zapaści intelektualnej regionu, z której wydostanie się graniczy z cudem.

Zastanawiam się, czy można by zbudować system, który – podobnie jak w przypadku futbolu – dawałby jakieś rekompensaty obszarom podlegającym drenażowi mózgów. Sądzę, być może naiwnie, że powinny tym być zainteresowane również regiony bogate, bo całkowite „wyjałowienie” reszty świata pozbawi bogatych dopływu wybitnych talentów z zewnątrz (zginą, zanim ktokolwiek zdoła je dostrzec). A przecież to właśnie import talentów daje bogatym dobrobyt i przewagę konkurencyjną.

Z pewnością nie da się dzisiaj przenieść metod stosowanych w futbolu bezpośrednio do nauki. Dotychczasowe nieśmiałe próby egzekwowania przez państwo „zapłaty” za utalentowanych, dobrze wykształconych wychowanków uczelni w krajach uboższych spotykały się zawsze z ostrą krytyką i oskarżeniem o „handel ludźmi” oraz „nowoczesne niewolnictwo”, czyli ograniczanie wolności osobistej, sprzeczne z zasadami cywilizowanego świata. Równocześnie tenże cywilizowany świat bez wahania akceptuje „handel ludźmi” w przypadku piłkarzy.

Wyjaśnieniem tej jawnej hipokryzji jest kolosalna różnica w skali dostępnych środków finansowych.

Obroncy futbolu argumentują, że zawodnicy *dobrowolnie* poddają się takiemu ograniczeniu wolności. W zasadzie nikt ich do niczego nie zmusza i wobec tego formalnie trudno tutaj znaleźć naruszenie jakichś ogólnoludzkich zasad. Z drugiej strony wiadomo jednak, że właściwie nie mają wyjścia, bo tak właśnie skonstruowany jest system. Skoro jednak pieniędzy jest tyle, że wszyscy jego uczestnicy odnoszą korzyści, nikt nie protestuje i układ działa bez większych zgrzytów.

Jasne, że nie da się dzisiaj zaproponować uczonym, aby poddali się takim rygorom w zamian za podobnie lukratywne obietnice. Po pierwsze, nie ma takich pieniędzy. Po drugie, wywołałoby to – bez wątpienia – gorące protesty i powszechne oburzenie. Ale pamiętajmy, że również świat sportu dochodził do obecnego stanu powoli i z oporami. Jeszcze sto lat temu ściśle przestrzegano zasad sportu amatorskiego, a najlepszy na świecie biegacz, Paavo Nurmi, został zdyskwalifikowany za ich drobne naruszenie. Również tenisiści grali za darmo i dobrze pamiętam, jak sam byłem oburzony, gdy Jack Kramer w pewnym momencie postanowił z tym skończyć.

Jeżeli więc tylko znajdą się odpowiednio duże środki, czyli jeżeli nastąpi gwałtowny wzrost popytu na utalentowanych i kompetentnych uczonych, zapewne kiedyś szkoły oraz uczelnie będą przyjmować uczniów i studentów, wyłącznie jeżeli zgodzą się na warunki podobne do stosowanych w środowisku piłkarskim. To z kolei otworzy rynek, na którym będzie można zdolnych ludzi kupować jak utalentowanych piłkarzy. Zapewne ceny studentów, absolwentów i profesorów Oxfordu, Cambridge czy MIT będą wyższe niż tych z UJ czy UW, ale każdy coś zarobi. Powstanie też ranking szkół i uczelni. Zapewne znacznie bardziej wiarygodny niż ranking szanghajski.

Zorganizowanie takiego rynku jest (będzie) oczywiście znacznie trudniejsze niż rynku piłkarskiego. Materia jest bowiem bardziej skomplikowana. Ale nie mam wątpliwości, że – jeżeli tylko znajdą się odpowiednie środki – fachowcy sobie z tym poradzą.

Przyznaję, że trudno to sobie dzisiaj wyobrazić, ale komercjalizacja wszystkich dziedzin życia postępuje bardzo szybko, a globalny rynek będzie stwarzał możliwości, o których teraz nie próbujemy nawet myśleć. Zapewne jednak znajdują się tacy, którzy pomyślą. I zarobią.

Inna sprawa, czy chcielibyśmy żyć w takim świecie. Pewno nie, ale przecież do wszystkiego można się przyzwyczaić. Zwłaszcza gdyby pojawiły się naprawdę duże pieniądze.

ANDRZEJ BIAŁAS

PAUza Akademicka – www.pauza.krakow.pl – tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności i środowiska naukowego.

Rada Redakcyjna: Magdalena Bajer, Andrzej Białas, Janusz Limon, Ewa Lipska, Piotr Sztompka, Marta Wyka, Jakub Zakrzewski.

Redakcja: Andrzej Białas – redaktor naczelny; Andrzej Borowski, Piotr Malecki, Marian Nowy – redaktorzy;

Adam Korpak, Krzysztof Skórczewski – grafika; Ryszard Otręba – „Galeria PAUzy”; Anna Michalewicz – dyrektor administracyjny; Witold Brzozkowski, Monika Mentel – fotokład; Wydawnictwo PAU – konsultacje.

Adres do korespondencji: Polska Akademia Umiejętności, 31-016 Kraków, ul. Sławkowska 17; e-mail: pauza@pau.krakow.pl

Oczekujemy na artykuły do 6 000 znaków (ze spacjami) i ilustracje w formacie JPEG o rozdzielczości 300 dpi.

Bezpłatna subskrypcja